

Sześćdziesiąt muzycznych wiosen

Wrzesław Żurawski (*Łańcut*)

W sobotę, 20 listopada 2021 roku w Łańcucie na Placu Sobieskiego został odsłonięty pomnik poświęcony 60-tej rocznicy Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie. Fundatorem było Miasto Łańcut. Pomnik w formie fortepianu zaprojektował Wrzesław Żurawski. Na skrzydle został umieszczony napis: Januszowi Ambrosowi, kierownikowi artystycznemu Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie, Józefowi Maroniowi, dyrektorowi Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie, Antoniemu Dudzie - Dziewierzowi, dyrektorowi Muzeum - Zamku w Łańcucie, twórcom Dni Muzyki Kameralnej w 60-tą rocznicę (1961 - 2021) - łańcucianie. Na pulpicie fortepianu jest napis: Bogusławowi Kaczyńskiemu Honorowemu Obywatelowi Miasta Łańcuta, a na czole fortepianu: Dyrektorom i pracownikom Filharmonii Podkarpackiej im. Artura Malawskiego.



Pomnik poświęcony 60-tej rocznicy Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski

Antoni Duda – Dziewierz, dyrektor Muzeum – Zamku w Łańcucie od 1952 roku, był znakomitym gospodarzem. Uczestnik I wojny światowej, ułan zaangażowany w obronę Warszawy w 1920 roku, działacz PPS, współzałożyciel i administrator Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, świetny organizator. Przybywszy do Łańcuta zastał Zamek zaniedbany, zawilgocony, z przeciekającymi dachami. W 1953 roku zainicjował poważne prace: remont dachu nad całym zamkiem, osuszenie piwnic i parteru, wymianę konstrukcji niektórych stropów, a także założenie centralnego ogrzewania. Były to przedsięwzięcia na gigantyczną skalę, których przeprowadzenie odmieniło wkrótce

oblicze zamku.

Łańcut miał szczęście. Był zawsze otoczony legendą luksusu i dobrego gustu. Jeszcze przed wojną gościł głowy koronowane i inne dobrze urodzone znakomitości. Po II wojnie również kusił nową komunistyczną „arystokrację”. W lipcu 1959 roku Zamek odwiedził I sekretarz KPZR Chruszczow – władca ówczesnej połowy świata, tej, w której znalazł się Łańcut.

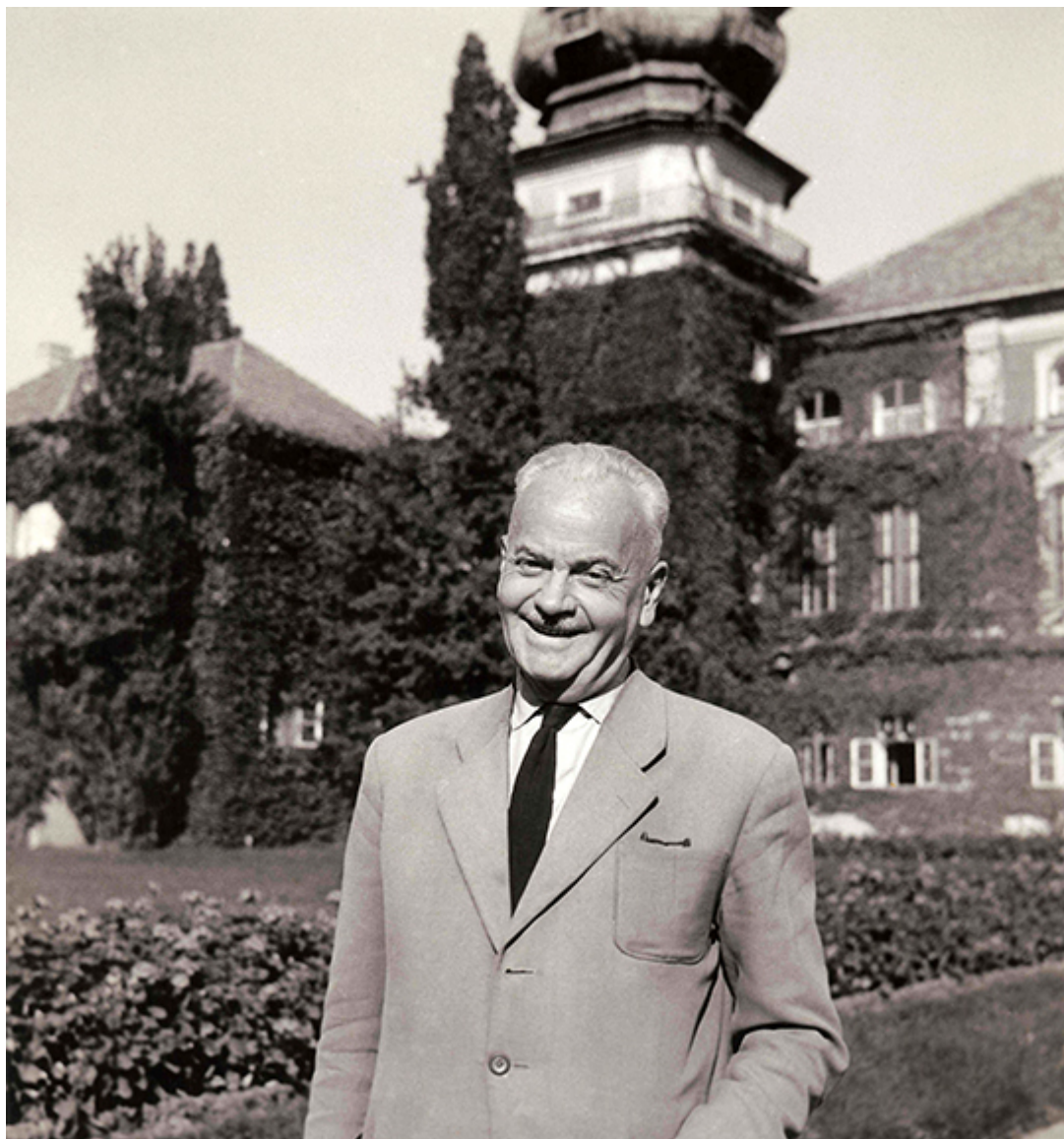
Zamek w Łańcucie był już po świeżo zakończonych remontach największych reprezentacyjnych wnętrz: Sali Balowej i Jadalni Wielkiej. Oprócz udostępnienia do zwiedzania wnętrz muzealnych można było społeczeństwu dać coś więcej. Wartością dodaną okazała się muzyka.

Rok 1961 był obchodzony jako Rok Ziemi Rzeszowskiej i dla jego uświetnienia Państwowa Orkiestra Symfoniczna podjęła inicjatywę organizacji w Łańcucie od 2 do 5 czerwca Dni Muzyki Kameralnej jako wydarzenia corocznego. Pomysłodawcami byli Janusz Ambros – kierownik artystyczny, wybitny dyrygent, zawsze we fraku, zawsze uśmiechnięty oraz Józef Maroń – przedsiębiorczy, zatroskany, zapracowany dyrektor Orkiestry, później Filharmonii. Dyrektor Muzeum przyjął ich z otwartymi ramionami. Początkowo rozważano połączenie Dni Muzyki Kameralnej z kursami muzycznymi dla młodzieży, konkursami dla zespołów kameralnych i kompozytorów oraz seminariami dla

muzyków i studentów wyższych szkół muzycznych. Ostatecznie zrezygnowano z tak rozbudowanych planów.

2 czerwca 1961 roku o godzinie 18.00 Dni Muzyki Kameralnej zainauguował Kwartet Krakowski wykonując trio fortepianowe g-moll Fryderyka Chopina. Organizatorzy obawiali się, czy koncerty będą miały powodzenie u melomanów, ale entuzjastyczne recenzje prasowe spowodowały, że w kolejnych dniach na Sali Balowej zabrakło miejsc i wielu miłośników słuchało muzyki przed zamkiem przez otwarte okna.

W roku 1962 „Dni Muzyki” trwały tydzień od 2 do 7 czerwca. Janusz Ambros i Państwowa Orkiestra Symfoniczna zbierali kwiaty i gorące brawa. Impreza przyjęła się znakomicie. Planowano w roku następnym zaproszenie zespołów z zagranicy. Niestety, tuż przed rozpoczęciem „Dni Muzyki” 1 czerwca 1963 roku Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej odwołało koncerty z powodu „panującej jeszcze epidemii duru”. We Wrocławiu zaś 15 lipca wybuchła epidemia ospy, która trwała oficjalnie do 19 września. Taki rok. W czasie zarazy milczą muzy. Antoni Duda – Dziewierz nie czekał. Wyremontował południowo – zachodnią część Zamku adaptując ją na hotel dwugwiazdkowy, który służył długie lata turystom, ważnym gościom Zamku (premier Cyrankiewicz), a w maju oczywiście gościom „Dni Muzyki”.



Antoni Duda-Dziewierz, zasłużony dyrektor Muzeum-Zamku w Łańcucie, fot. arch. rodzinne

Od roku 1964 Dni Muzyki Kameralnej już nieprzerwanie odbywały się corocznie, przeważnie w drugiej połowie maja. Zaczęli przyjeżdżać wykonawcy zagraniczni. Muzeum starało się tworzyć jak najlepszą, wyszukaną atmosferę dla melomanów. Organizowano wystawy otwierane specjalnie na tę okazję, na przykład dawnych instrumentów muzycznych. Starannie dekorowano kwiatami salę koncertową, którą przeważnie była Sala Balowa.

Muzyka gościła w Zamku od kiedy go zbudowano. Koncerty od początku lat 60. bywały z różnych okazji, nie tylko w czasie „Dni Muzyki”. Zdarzały się też wyjątkowo koncerty w Jadalni Wielkiej lub Salonie Narożnym (przy świecach!). W Sieni Zamkowej grał (przy świecach!) zespół *Fistulatores et Tubicinatores Varsovienses* Kazimierza Piwkowskiego na wykonanych przez niego kopiach instrumentów z epoki renesansu i wczesnego baroku. Pojawił się w Łańcucie Stefan Sutkowski z zespołem *Musicae Antiquae Collegium Varsoviense* oraz ze swoją *Warszawską Operą Kameralną*, która występowała w Teatryku Zamkowym. Przedstawiane utwory były wyszukanymi w Bibliotece Muzycznej Zamku Łańcuckiego dziełami słynnych twórców oper kameralnych jak Marcello di Capua, Pegolesi, Paisiello. Muzeum – Zamek jest bowiem nie tylko znakomitym tłem dla wydarzeń kulturalnych, ale przede wszystkim skarbnicą szerokiej wiedzy o kulturze, w tym o muzyce. Stefan Sutkowski borykając się w latach 60. z problemem siedziby dla swego zespołu w stolicy, czasowo skorzystał z gościny Muzeum – Zamku w Łańcucie, przechowując tu kostiumy i częściej goszcząc z występami.

Na koncerty przyjeżdżali dygnitarze rzeszowscy, rzeszowska inteligencja (specjalne autobusy), trochę gości ze stolicy, recenzenci muzyczni, wreszcie łańcucianie – zżyci z Muzeum przewodnicy PTTK, inteligencja, środowisko Szkoły Muzycznej, no i pracownicy Zamku. Dni Muzyki Kameralnej zawsze niosły

powiew zdrowego snobizmu. Był to chyba najważniejszy w województwie przegląd kreacji pań i panów. Wszyscy po wejściu do Zamku stawali się znakomicie wychowani, bardziej eleganccy, bardziej uroczyści. Wychodzili z poczuciem, że są lepsi i bogatsi wewnątrz.

Oprawa graficzna Dni Muzyki Kameralnej była na najwyższym poziomie. Plakaty projektowali znani artyści, drukowane były ładne, grube programy – broszury ze zdjęciami wykonawców służące świetnie do zbierania autografów.

Państwowa Orkiestra Symfoniczna w Rzeszowie stała się w 1967 roku Filharmonią im. Artura Malawskiego dzięki staraniom Janusza Ambrosa i Józefa Maronia. W końcu Filharmonia doceniana przez władze wojewódzkie i państwowe otrzymała własną siedzibę w 1974 roku. Jej prestiż rósł z każdym rokiem, ale wizytówką na skalę międzynarodową był zawsze Łańcut.



Pomnik poświęcony 60-tej rocznicy Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski



Pomnik poświęcony 60-tej rocznicy Dni Muzyki Kameralnej w Łańcucie, fot. Wrzesław Żurawski

W 1981 roku, w atmosferze entuzjazmu „Solidarności” sfrunął z wysokości stolicy Bogusław Kaczyński, znany już wówczas popularyzator muzyki. Zmieniając nazwę Dni Muzyki Kameralnej na „Festiwal Muzyki Łańcut 1981”, 1982 itd., stworzył legendę nowej imprezy muzycznej o skali międzynarodowej, którą telewizja błyskawicznie wypromowała. Łańcut zaczął być identyfikowany z Festiwałem i Bogusławem Kaczyńskim (a może odwrotnie?). I ten Łańcut w Kaczyńskim zakochał się z wzajemnością. W 2003 roku przyznał mu tytuł Honorowego Obywatela.

Nowa formuła festiwalu przewidywała zamiast jednego, po dwa, trzy koncerty dziennie, w tym specjalne koncerty tylko dla dzieci i młodzieży. Po raz pierwszy zaczęto organizować wielkie koncerty plenerowe przed Zamkiem. Kamery, światła, mikrofony, kable i dwukrotne zapowiedzi – dla widowni i dla telewizji. Bilety na koncerty były rozchwytywane. Przyjeżdżała Warszawa i reszta świata, znani aktorzy, literaci, ludzie – legendy. Kaczyński celebrował muzykę, wykonawców, ale także wybitnych gości. Otoczony był „dworem”: sztabem organizatorów, wielbicieli i ciekawych „legend”, którymi zajmował się osobiście. Umiał stworzyć atmosferę wyjątkowości chwili. Prawie każdy koncert był „wybitnym wydarzeniem”, a wielokrotne bisy, brawa na stojąco, stały się regułą. Stan wojenny 1982 roku zaskoczył Festiwal bojkotem mediów ze strony środowisk twórczych. Na szczęście uszanowano wolę wykonawców, którzy zgodzili się wystąpić, ale odmówili prawa transmisji koncertów przez telewizję, która triumfalnie wróciła już w roku następnym.

Po 10 latach, w 1991 roku Bogusław Kaczyński zrezygnował nagle z Łańcuta mając inne plany kariery w stolicy. Rzeszów i Łańcut zawyły z żalu, niektórzy melomani poczuli się zdradzeni. Filharmonia Rzeszowska przeżyła szok, ale dokonała dramatycznego, zwieńczonego sukcesem wysiłku, by festiwal w roku 1991 nie był gorszy od poprzednich. Dyrektorem Filharmonii i Festiwalu był od tej chwili przez 16 kolejnych lat energiczny, nieustrudzony Wergiliusz Gołąbek. Zmieniła się

nazwa imprezy na „Muzyczny Festiwal w Łańcucie”.

Dobra opinia o Festiwalu jest dziełem ciężkiej pracy całego, zmieniającego się pokoleniami zespołu pracowników Filharmonii. Zmieniła ona też w 2010 roku nazwę na „Filharmonia Podkarpacka” pod dzielną dyрекcją prof. Marty Wierzbieniec, której niestraszna była nawet ostatnia pandemia. Kolejne lata, już ze spokojnym oddechem i doświadczeniem czasu minionego dają wciąż artystom i melomanom niezapomniane przeżycia i kolejnym pokoleniom pozwalają zakochać się w Łańcucie – blasku rezydencji, szumie drzew, śpiewie ptaków, zapachu magnolii.

Artykuł ukazał się w „Biuletynie Miejskim” w Łańcucie.

III Kongres Teatru

Polskiego w Chicago

Małgorzata Oman (*Chicago*)



Marek Probosz (w środku) i artyści Teatru Nasz z Chicago, fot. arch. aktora

Kongres Teatru Polskiego w Chicago odbył się w piękny, słoneczny weekend 10-12 września 2021 roku w Leela Arts Center, w Des Plaines. W piątkowy wieczór, Kongres

otworzył dyrektor Teatru Nasz, Andrzej Krukowski, który powitał zgromadzonych na sali miłośników teatru. Była to już trzecia impreza tego typu. Pomysł stworzenia Kongresu wyszedł właśnie od Krukowskiego w 2019 roku.

Idea Kongresu jest bardzo prosta: teatr ponad podziałami – mówi Aldona Olchowska, asystentka reżysera Krukowskiego, aktorka i osoba, która ogarnia cały ogrom rzeczy artystycznych i prozaicznych związanych z działaniem Teatru Nasz. – Przede wszystkim, chcemy upowszechniać w środowiskach polonijnych wiedzę o teatrze, kulturze i literaturze polskiej. Chcemy też zaktywizować środowisko polonijne, inspirując i informując je o dokonaniach polskich teatrów w Chicago. Chodzi nam również o to, aby stworzyć platformę, która posłuży współpracy między teatrami i pomoże w promocji ich dokonań w kraju. Jednym słowem – teatr ponad podziałami – teatr, który jednoczy.

W 2019 roku, na pierwszym Kongresie, w trakcie jednodniowego spotkania, jego uczestnicy wysłuchali podsumowania teatralnych dokonań minionego roku i zapowiedzi nadchodzących atrakcji w następnym sezonie. Byli również świadkami wręczenia nagrody Kongresu właścicielowi kawiarni artystycznej Art Gallery Kafe, Wiesławowi Gogaczowi, za wieloletnie i konsekwentne promowanie kultury polskiej w Chicago. Inicjator Kongresu,

Krukowski, miał wtedy nadzieję, że z czasem impreza się rozrośnie. Okazało się, że nie musiał długo czekać. W tym roku, Kongres trwał już trzy dni. Obok, wcześniej wspomnianych, stałych już punktów programu, w trakcie weekendu odbyły się też dwa spektakle teatralne, w tym jedna premiera oraz dwudniowe warsztaty aktorskie. Całkiem niezły dorobek jak na trzyletni staż.

W piątkowy wieczór, na widowni zebrali się ludzie, których pasją jest teatr i którzy dla teatru poświęcają swój wolny czas. Wśród zgromadzonych znalazła się także pani Paulina Szafałowicz, przedstawicielka Konsulatu RP w Chicago, kierowniczka referatu ds. Prawnych i Opieki Konsularnej. Warto tu wspomnieć, że Konsulat od początku finansowo wspierał i wspiera działalność Kongresu Teatru Polskiego, za co chicagowskie środowisko teatralne jest mu niezmiernie wdzięczne. Głównym gościem Kongresu był jednak, również obecny na widowni, przybyły na zaproszenie Andrzeja Krukowskiego, aktor, reżyser, scenarzysta i wykładowca na prestiżowym Kalifornijskim Uniwersytecie w Los Angeles, UCLA, Marek Probosz. I to właśnie on poprowadził warsztaty teatralne dla aktorów.

*

Spektakl „Kwartet dla Czterech Aktorów”

Po uroczystym otwarciu, zgromadzeni mieli okazję zobaczyć, wystawioną już po raz 16 (!) sztukę “Kwartet dla Czterech Aktorów” Bogusława Schaffera. Tym razem jednak, zamiast czterech aktorów i jednego muzyka, na scenie pojawiło się dziewięciu aktorów i dwóch muzyków. Dlaczego? Okazało się, że był to ciekawy i odważny eksperyment reżysera Krukowskiego. Ponieważ spektakl cieszył się ogromną popularnością, był wystawiany w trzech różnych kompilacjach. Tego wieczoru, na scenę wyszli niemal wszyscy aktorzy, którzy uczestniczyli w sztuce w różnych obsadach. Tego typu eksperyment mógł się łatwo skończyć fiaskiem i ogólnym chaosem, a jednak tak się nie stało. Szybko dało się zauważyć, że aktorzy poszli na żywioł, dzieląc się tekstem spontanicznie, improwizując, dopasowując swoje zachowania i reakcje do rozwoju akcji, a przy tym świetnie się bawiąc. Jak to w takich przypadkach bywa, im lepiej bawili się aktorzy, tym lepiej bawiła się też publiczność. Podsumowując ten ostatni spektakl “Kwartetu”, Aldona Olchowska stwierdza: *W sumie czuliśmy się pewnie, bo mieliśmy za sobą wiele odegranych spektakli, mogliśmy się więc bawić i żonglować swoimi tekstami.* Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, wszyscy mieli świetną zabawę. I tak upłynął pierwszy dzień, a raczej wieczór, III Kongresu Teatru Polskiego w Chicago.



Marek Probosz, fot. arch. aktora

KONGRES TEATRU POLSKIEGO W CHICAGO ZAPRASZA
młodzież i dorosłych na

WARSZTATY AKTORSKIE



prowadzi

MAREK PROBOSZ

aktor teatralny i filmowy, reżyser, profesor UCLA, wykładowca sztuki aktorstwa



w programie: praca nad ciałem i praca sceniczna

11 i 12 września 2021, w godz. 10.00 - 14.00

Leela Art Center, 620 Lee St. Des Plaines

zgłoszenie (BIO ze zdjęciem) do 31 sierpnia
na adres: ktpwchicago@gmail.com

Cena:

- \$500 - udział w dwóch dniach warsztatów
i wszystkich wydarzeniach III KTP w Chicago
- \$250 - udział w jednym dniu warsztatów
- \$150 - udział w dwóch dniach warsztatów jako obserwator
- \$100 - udział w jednym dniu warsztatów jako obserwator

Warsztaty aktorskie z Markiem Proboszem

W sobotę rano, o godzinie 10:00, w Leela Art Center rozpoczął się pierwszy dzień warsztatów z Markiem Proboszem. Ten dzień poświęcony był pracy nad ciałem. Na scenie aktorzy Teatru Nasz w luźnych strojach, zajmują miejsca na matach do jogi. Pomiedzy nimi przemieszczał się Marek Probosz ubrany w T-shirt i krótkie spodenki, zrelaksowany, ale czujny.

Dziś aktorzy pracują nad rozluźnieniem całego ciała i nad rozbudowaniem świadomości jego posiadania. Jest intensywnie, żadna część ciała nie zostaje pominięta, od palców u nóg do gałek ocznych. Aktorzy komentują: *Wydaje się, że nie robimy nic wielkiego, nie ma fikołków, skoków, a pocimy się.* Marek Probosz, dając aktorom instrukcje na temat kolejnych ćwiczeń, jest bardzo konkretny i obrazowy, co pomaga uczestnikom lepiej osiągnąć zamierzony przez prowadzącego cel. *Pranayama, oddychamy głęboko, oczyszczamy się z toksycznej, zastanej energii, masujemy oddechem wszystkie siedem czakramów, budzimy je łącząc moce ognia i wody, przywracamy wewnętrzną równowagę ciała-umysłu-ducha.*

Aktorzy poddają się jego słowom. Probosz jest też bardzo delikatny jako instruktor. Podchodzi do każdego z aktorów, chwali, zachęca do większego wysiłku lub poprawia pozę. Czasami jego uwagi wywołują śmiech, są też jednak momenty, kiedy sprowokowany w naturalny sposób przez sytuację, Marek serwuje ćwiczącym mini wykłady, w których cenne uwagi na temat warsztatu aktora przeplatają się z anegdotami, płynącymi z jego własnych doświadczeń na scenie lub planie. Przedmiotem jednego z takich mini wykładów jest niezwykle ważna dla aktora umiejętność tzw. "wyzerowania się" czyli zapomnienia o sobie jako o konkretnej osobie. *Tylko wtedy na scenie będzie można w pełni wejść w postać, którą się gra* – mówi Marek – *tylko wtedy będzie możliwe przeistoczenie się i*

zadziała magia teatru, która porwie i zaczaruje widza. Chwila zadumy, chyba każdy z nas ma w pamięci spektakl, który przyniósł taki magiczny moment, po którym wyszliśmy jakoś dziwnie odmienieni. Pierwsza połowa sesji dobiega końca.

Po przerwie rozpoczyna się praca nad oddechem. Probosz przedstawia aktorom postać holenderskiego dziennikarza, Wima Hofa, który od jakiegoś czasu zadziwia świat swoją nadludzką zdolnością regulowania temperatury swojego ciała i kontroli nad jego funkcjami.

Aktorzy uczestniczą w ćwiczeniu oddechowym, które Marek prezentuje za Wim Hofem. Prowadzący prosi wszystkich aby wygodnie położyli się na matach. Uprzedza, że ćwiczenie będzie miało trzy rundy. Po chwili, aktorzy słyszą instrukcje Hofa, a Marek dorzuca szybko swoje dodatkowo wyjaśniające wskazówki. Prosi również aby mieć świadomość swojej wytrzymałości i nigdy nie robić niczego na siłę. Trzydzieści wdechów i wydechów, następujących bezpośrednio po sobie. Mrowienie, zawroty głowy są normalną reakcją. Po ostatnim wydechu, aktorzy słyszą, aby wstrzymać oddech przez minutę i skoncentrować się na odczuciach swojego ciała. I druga runda. Znow trzycieści dynamicznych oddechów. I wstrzymanie powietrza na minutę wraz z koncentracją na odczuciach w ciele. *Bądź całkowicie świadomy tego co odczuwasz, bądź świadomy swojego ciała.* I ostatnia runda, wdech, wydech, wdech, wydech.

Na koniec wstrzymanie oddechu, tym razem przez półtorej minuty. Wreszcie czas na powrót do normalnego oddychania i możliwość podzielenia się swoimi wrażeniami po przebytym ćwiczeniu. Aktorka, Gosia Duch, jest pod wrażeniem swoich reakcji. *Po wstępnym uczuciu paniki, opanował mnie spokój i ogarnęła świadomość bardzo intensywnego bycia ze sobą.* Następne ćwiczenie to liczenie nabranych oddechów w czasie 3 minut. Tym razem pod wrażeniem jest prowadzący. Grupa wypada świetnie, nabierając średnio tylko 4-5 oddechów. Po sesji oddechowej, następuje praca nad brzuchem. I tu mamy okazję przekonać się w jak świetnej formie jest Marek Probosz, kiedy w pewnym momencie, staje na głowie, robi nożyce i spokojnie wraca do pionowej postawy tym razem z głową na górze.



Warsztaty aktorskie z Markiem Proboszem, fot. arch. aktora

główną postacią jest Murray Abraham, zdobywca Oscara w 1984 roku za rolę Salieriego w filmie "Amadeusz" Milosa Formana. Marek miał okazję współpracować z nim naszenie w spektaklu "12 gniewnych ludzi" w reżyserii Mathew Modina i nie mógł się nadziwić jak wcześnie przed rozpoczęciem spektaklu Abraham pojawiał się w teatrze, aby przygotować się do roli.

Probosz puentuje anegdotę stwierdzeniem, że ciągłe dążenie do doskonałości jest marką aktora najwyższej klasy. *Taki aktor nie odgrywa postaci, on się nią staje.* Sesję kończy specyficzna medytacja, oparta na przywoływaniu pamięci emocjonalnej. Aktorzy znów leżą na matach, tym razem jednak Marek spokojnym, wyciszonym głosem, czyta im 50 pytań, na które obecni mają sobie w myślach odpowiedzieć. I to ostatni punkt pierwszego dnia warsztatów. Nie ma osoby, która żałuje, że się pojawiła. Żałować powinni ci, którzy nie mogli brać w nich udziału.

*

Spektakl „Kobiety po przejściach”

Sobotnim wieczorem ma miejsce premiera sztuki "Kobiety po przejściach" w wykonaniu Edyty Łuckoś, Eweliny Zielińskiej i Joanny Parzych – aktorek, nowo powstałego teatru Ad Hoc. Sztuka reżyserowana przez Julitę Mroczkowską-Brecher, reżyserkę i założycielkę teatru, to komedia obyczajowa o

współczesnych kobietach, których życiowe wybory postawiły w niełatwych sytuacjach i zmusiły do zmierzenia się z konsekwencjami tych wyborów. Sala wypełniona po brzegi, widownia reaguje żywiołowo i doskonale się bawi. Julitta Mroczkowska reaguje z ostrożnym optymizmem – *Może to tylko 'beginner's luck'?* A może jednak nie. Może chicagowska Polonia spragniona jest teatru i sztuk, które bawią i uczą. Pisząc artykuł nieco później, dowiaduję się, że spektakl grany był jeszcze kilkakrotnie i za każdym razem bilety zostały wyprzedane. Brawo Teatr Ad Hoc! Co za debiut! Życzymy powodzenia i czekamy na nowe sztuki.

*

Warsztatów aktorskich z Markiem Proboszem ciąg dalszy

Niedziela rano, 10:00, drugi dzień warsztatów. Tym razem aktorzy staną przed kamerą. Ich zadaniem będzie odegranie scen z kilku znanych filmów, wybranych na tę okazję przez Marka Probosza. Sesję rozpoczyna krótki wykład Profesora na temat potrzeby naturalności i prawdy przed kamerą, która jest bezlitosna i wyłapie każdy fałsz. *Oko kamery to 24 klatki prawdy na sekundę* – mówi Marek i dorzuca żartem – *wczoraj miały miejsce bóle porodowe, a dziś nastąpi poród*. Wszyscy czekamy w lekkim napięciu na to co nastąpi dalej.

Aktorzy dostali teksty wcześniej, mieli więc szansę, aby się z nimi zapoznać, przemyśleć je i przeanalizować. Są to fragmenty scenariuszy filmów: "Requiem dla Snu", "Philadelphia" i "Birdman" oraz scenka z życia pt. "Covid". W powietrzu można wyczuć adrenalinę. Aktorzy mają dwa podejścia. Pierwsze, to odegranie ich wizji przydzielonej im sceny. Po tej próbie, Marek udziela im kilku uwag, budując nastrój, kierując uwagę aktorów na kluczowe momenty odgrywanej sceny. Drugie podejście jest nakręcane „z ręki” przez Probosza. Na końcu, aktorzy zobaczą efekty swojej pracy na dużym ekranie. I znów uwaga Marka, która zostaje w pamięci. – *Esencją filmu – mówi – jest złapanie wyjątkowości chwili, zaufanie reżyserowi i całkowite poddanie się zaistniałej sytuacji. Krzysztof Kieślowski zawsze powtarzał, że jego zadaniem jest nie wiedzieć. Tylko wtedy można uchwycić prawdę sytuacji.* Teraz aktorzy mogą się rozejść, dostają trochę czasu, aby się wyciszyć, wyzerować. Scena na jakiś czas zostaje pusta.

Wreszcie czas na akcję. W roli klapsera, dobrze znana w polonijnym środowisku Agata Paleczny, aktorka, założycielka i dyrektorka Warsztatów Teatralnych Little Stars. Trudno opisać tu wszystkie odegrane sceny. Ograniczę się więc do tej, która zrobiła na mnie największe wrażenie i najbardziej zapadła mi w pamięci. Scena pochodzi z filmu "Filadelfia", w którym główną rolę zagrał Tom Hanks, a jego filmowego partnera, Antonio Banderas. Na deskach teatru Leela Art Center, te role przypadły

Małgorzacie Duch i Lillianie Totten. Na prośbę reżysera, Małgosia wprowadza nas w sytuację. – *To moment kiedy bliscy sobie ludzie przyznają się wreszcie przed sobą, że jedno z nich ma do czynienia ze śmiertelną chorobą i niebawem ta druga osoba zostanie sama. To moment kiedy pęka iluzja.*



Warsztaty aktorskie z Markiem Proboszem, fot. arch. aktora



Warsztaty aktorskie z Markiem Proboszem, fot. arch. aktora
Zaczynamy! Klaps! Cisza na planie. Jak przemienić się z energicznej osoby w postać wyczerpaną walką ze śmiertelną chorobą? Jak odegrać rozpacz i strach przed utratą kogoś, kto jest dla nas kluczowym punktem naszego życia? Po pierwszym podejściu, Marek udziela dziewczynom kilku swoich uwag. Zwraca się też bardzo bezpośrednio do aktorek, odwołując się do ich osobistych przeżyć i stawia im poprzeczkę nieco wyżej. Gramy jeszcze raz, klaps, cisza na planie. Akcja rozwija się, następuje końcowa scena, w której postacie przestają udawać przed sobą, że się nie boją, że mają wszystko pod kontrolą. Na scenie łóżko, pościel i dwie siedzące na niej, przyklejone do siebie w rozpaczliwym uścisku kobiety,

wyrzucające z siebie, pośród łkań, długo dławione słowa. Wśród obserwujących zapada kompletna cisza. Nagle wszystko znika, scena, rekwizyty i obie znajome aktorki, zostaje tylko ludzki dramat. Klaps, koniec ujęcia... To był ten krótki magiczny moment, o którym wcześniej mówił prowadzący warsztaty Marek Probosz.

Po tych trudnych i wyczerpujących zadaniach, krótka przerwa w czasie, której przygotowywany jest duży ekran. Aktorzy rozluźnieni, uśmiechy na twarzach, wymieniają uwagi na temat swoich przeżyć. Do grupy dołącza Mistrz. Nagle pada stwierdzenie z ust jednej z uczestniczek. – *Marek, na początku byłeś dla nas aktorem z plakatu. Teraz jesteś nam szalenie bliski. Wczoraj po naszych zajęciach nie mogłam zasnąć. Opowiadałam mężowi o tym co przeżyłam. Byłam pełna energii i czułam, że coś się we mnie zmieniło, coś się otworzyło. Do głosu Gosi Duch dołączają głosy innych. – Czujemy się inaczej, te zajęcia bardzo dużo nam dały, otworzyły nas bardziej na siebie i innych. Marek z uśmiechem podsuwa – Czyli ziarna trafiły na podatny grunt.*

Dyskusję przerywają głosy ze sceny, że ekran i projekcja są gotowe. Aktorzy wracają, tym razem na widownię. Wszyscy razem będą oglądać efekty swojej pracy.

Po projekcji Marek Probosz dziękuje wszystkim za ich otwartość

i gotowość do podjęcia wysiłku. Kończy słowami – *Nie mówię żegnajcie, ale do zobaczenia. Jak każdy reżyser powiem – zagrajmy to jeszcze raz.* Brawa. Wspaniała przygoda z niezwykłym człowiekiem. Warsztaty zamyka Andrzej Krukowski, dzięki któremu wydarzenia ostatnich dni miały miejsce. Dziękuje wszystkim uczestnikom oraz osobom dzięki którym te zajęcia mogły się odbyć. Jeszcze tylko zbiorowe zdjęcie i pierwsze warsztaty teatralne Kongresu przechodzą do historii. Wszyscy zebrani mają wielką nadzieję, że to dopiero początek tej przygody.



Marek Probosz i Andrzej Krukowski, dyrektor Teatru Nasz, fot. arch. aktora

Ostatni etap Kongresu

Sesja, która rozpoczęła się w niedzielę po południu, kończy tegoroczny Kongres. Zbieramy się na widowni o 17:00. Na scenę wychodzą trzy osoby bardzo dobrze znane w polonijnym środowisku kulturalnym – Julitta Mroczkowska, Bogdan Łańko i kompozytorka Agata Paleczny. Ze sceny dobiega piosenka skomponowana przez Agatę Paleczny ze słowami Piotra Kukuły.

Bo w nas jest moc,

Bo w nas jest siła,

I duch teatru między nami kręci się.

To wiara w Polski Teatr nas złączyła

To wiatr historii w skrzydła nasze mocno dmie.

Jednym zdaniem aktorzy wyśpiewują misję Kongresu, tym razem w wersji artystycznej.

Nadchodzi czas aby podziękować wszystkim tym, którzy wspierali i wspierają finansowo polską działalność teatralną na terenie Chicago czyli sponsorom. To dzięki szczodrości polskich biznesów oraz mediów teatr polonijny w Chicago może się tak prężnie rozwijać. W tym roku, tradycyjną już nagrodę za wspieranie kultury polskiej i ambasadorowanie artystom polskim za granicą odebrał Tomasz Startek, właściciel firmy Star-Tech Glass.

Słuchając informacji na temat wszystkich dokonań teatralnych jakie miały miejsce wśród chicagowskiej Polonii w minionym sezonie, odczytanych przez Andrzeja Krukowskiego, odnosi się

wrażenie, że teatr w Chicago był sposobem na przetrwanie wszelkich niewygód i ograniczeń związanych z pandemią. Dokonań jest naprawdę sporo. W końcu czas na zapowiedzi nadchodzących atrakcji w nowym sezonie. Miłośnicy teatru zacierają ręce. Będzie się działo! Polonijne życie kulturalne w Chicago kwitnie, a twórcom nie brakuje zapału i pomysłów.



Marek Probosz jako Kordian, fot. arch. aktora
Ponieważ jednym z posłannictw Kongresu jest upowszechnianie polskiej kultury i literatury, a rok 2021 jest Rokiem Norwidowskim, znacząc dwusetną rocznicę urodzin Poety,

impreza nie mogła obyć się bez poświęcenia uwagi temu twórcy. Rok Norwidowski został upamiętniony przez Marka Probosza, który ekspresyjnie odczytał wykład profesora i reżysera Kazimierza Brauna, pt. "Norwid wczoraj i dziś,,.

Nieco później, widownia ma jeszcze jedną okazję aby zobaczyć i posłuchać Marka Probosza, tym razem jako Kordiana w monologu rozgrywającym się na szczycie Mont Blanc, Juliusza Słowackiego.

Pod koniec wieczoru, następuje prezentacja filmu pt. "Najlepszego", który jest ciekawą kompilacją nagranych w 2005 roku spektaklu teatru telewizji "Emigranci" Stanisława Mrożka, w reżyserii śp. Ewy Milde oraz dopisanego i dokręconego w 2020 roku przez Mitcha Bochnaka dalszego ciągu tej historii. Interesujące spojrzenie na pokręcone losy polskich emigrantów. W rolach głównych wystąpili Bogdan Łańko i Stanisław Wojciech Malec, który na tę premierową projekcję "Najlepszego" przyleciał specjalnie po 15 latach z Polski. Po spektaklu czas na rozmowy aktorów z publicznością.

Wreszcie, późnym wieczorem, ten pełen wrażeń weekend dobiega końca. III Kongres Teatru Polskiego w Chicago przechodzi do historii.

Kazimierz Braun „Norwid wczoraj i dziś”:

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 1.

Cyprian Norwid – wczoraj i dziś. Część 2.

*

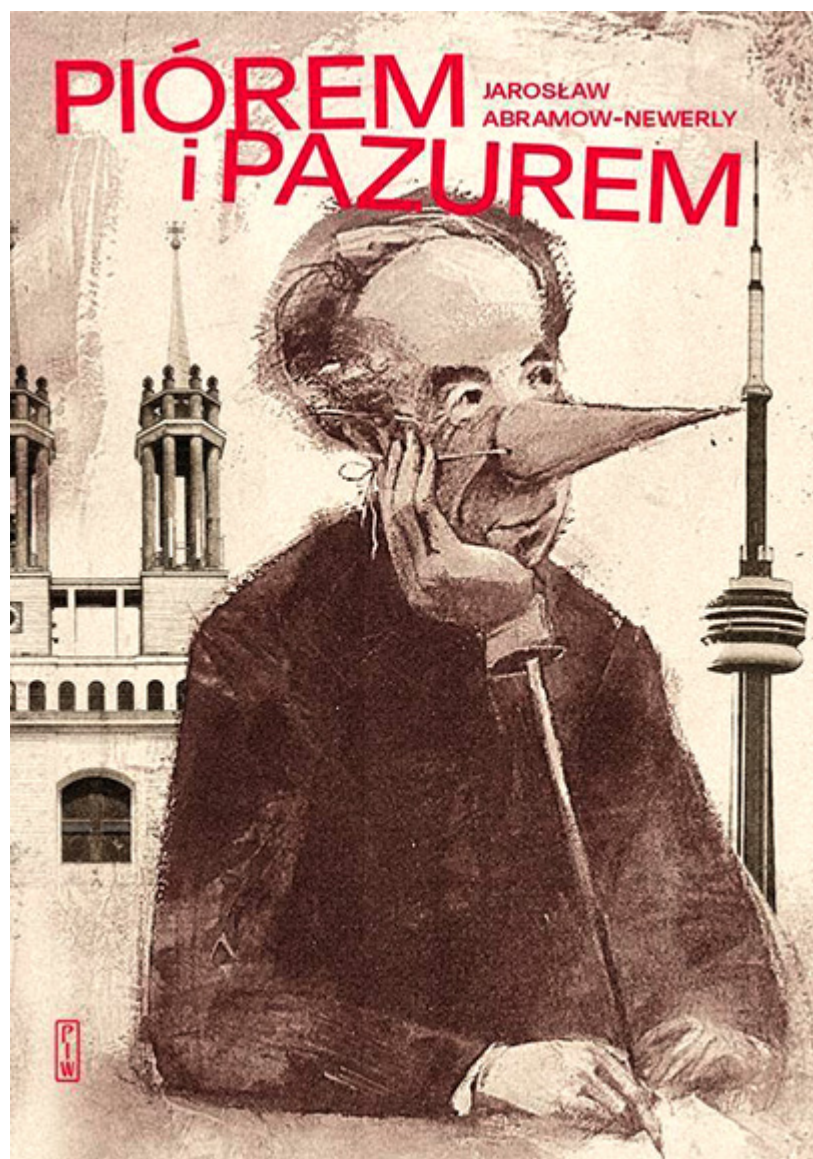
Rozmowy z Markiem Proboszem:

Oświęcim to była igraszka

Rotmistrz Witold Pilecki na Broadway’u

Promocja książki Jarosława Abramowa- Newerlego „Piórem i pazurem”

21 października 2021 r. o godz. 16.00 Państwowy Instytut Wydawniczy zorganizował w siedzibie Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu premierę najnowszej książki Jarosława Abramowa-Newerlego. Prapremiera tej książki miała miejsce w ubiegłym roku na łamach magazynu „Culture Avenue”. Na spotkaniu, prowadzonym przez Karolinę Felberg, była nasza korespondentka, Dorota Rajszyś, która uwieczniła ten niezwykle wieczór autorski na fotografiach. (Redakcja).



*

„Piórem i pazurem” wieńczy autobiograficzny cykl Jarosława Abramowa-Newerlego: „Lwy mojego podwórka”, „Lwy wyzwolone” i „Lwy STS-u”. Jednak w najnowszej książce autor wspomina nie kilka, ale kilkadziesiąt lat swojego życia – od 1960 roku do chwili obecnej. Tematem staje się więc życie pisarza w PRL-u, potem dalej – w czasie Karnawału „Solidarności”, stanu wojennego, na emigracji i w IV RP. Życie to z rzadka tylko usłane jest różami. Mamy więc orkę w redakcji Polskiego Radia, ale też

dyskusje z cenzurą, a potem, już w Kanadzie, niepewność jutra. Jarosław Abramow Newerly opowiada też o kulisach swoich małżeństw i z rozczeniem wspomina wspólne wakacje z małymi córkami. Przywołuje przygody z przyjaciółmi po piórze: Markiem Nowakowskim, Jerzym Sito, Kazimierzem Orłosem, Władysławem Lechem Terleckim i Włodzimierzem Odojewskim, którzy o swoje książki walczyli z systemem jak lwy.

Na podstawie noty Państwowego Instytutu Wydawniczego.

*

WIECZÓR AUTORSKI

Jarosława Abramowa-Newerlego

Fotografie: Dorota Rajszyś









Fragmenty książki:

Patrzymy na siebie

Szelma wdowa

*

Wywiad z Jarosławem Abramowem Newerlym:

Złączył nas czas. Część 1.

Złączył nas czas. Część 2.

Obchody 50-lecia

Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej z Los Angeles



Bal 50-lecia Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej. Marek Probosz – Mistrz Ceremonii, Beata Poźniak – laureatka Nagrody Klubu Kultury i Maja Trochimczyk – Prezes Klubu Kultury Klub Kultury im. Heleny Modrzejewskiej, założony w 1971 roku, obchodzi w tym roku swoje 50-lecie. Klub jest organizacją charytatywną i apolityczną, dedykowaną promocji polskiego dziedzictwa kulturowego oraz nauki i sztuki polskiej w Kalifornii. Jako organizacja charytatywna Klub jest sponsorem wielu wydarzeń kulturalnych w Los Angeles i okolicach. Finansowany dochodami ze składek członkowskich oraz indywidualnych donacji, Klub organizuje spotkania z artystami i naukowcami, prezentuje publiczne koncerty, pokazy, przedstawienia teatralne i filmy.

Patronką Klubu jest słynna polska aktorka, Helena Modrzejewska (1840-1909), która wyemigrowała do Kalifornii w 1876 roku i stała się jedną z najwybitniejszych aktorek szekspirowskich swoich czasów: wystąpiła ok. 3 800 razy w Ameryce i Europie podczas swojej 40-letniej kariery scenicznej.

Członkami Klubu są polonijni imigranci, którzy chcą wzbogacać swoją wiedzę o polskiej kulturze, a także promować dziedzictwo narodowe w dostępnych dla szerokiej publiczności wykładach, koncertach czy spektaklach. Członkowie często osobiście uczestniczą w inscenizacjach teatralnych, kontynuując tradycję swego założyciela. Klub powstał z inicjatywy aktora, producenta,

reżysera, i dziennikarza Leonidasa Dudarew-Osetyńskiego (1910-1989). Weteran II wojny światowej, przyjechał do USA w 1941 roku, by osiąść w Los Angeles, gdzie założył studio aktorskie.

W ciągu pięćdziesięciu lat działalności Klub zorganizował setki wydarzeń kulturalnych, w tym wykłady i wywiady z wybitnymi przedstawicielami polskiej sztuki i nauki (m.in. noblista Czesław Miłosz, laureat Konkursu Chopinowskiego Krystian Zimerman oraz zdobywca Oskara Andrzej Wajda); pokazy filmowe; koncerty muzyki klasycznej i jazzowej; a także prezentacje sztuk teatralnych i pokazy kabaretowe. Najważniejszymi koncertami były: amerykańska premiera monumentalnego *Requiem* Romana Maciejewskiego, upamiętniającego ofiary wojen i represji, zorganizowana przez Los Angeles Master Chorale w Music Center w 1975 roku oraz koncert *Songs of Stones* poświęcony surowej, medytacyjnej i dramatycznej muzyce Henryka Mikołaja Góreckiego (Jacaranda – New Music Group w 2011 roku). Oba koncerty reprezentują współpracę Klubu z kalifornijskimi instytucjami kultury. Dzięki tym i innym wysiłkom tysiące mieszkańców południowej Kalifornii miało możliwość bezpłatnego uczestnictwa w wydarzeniach Klubu.



Marek Probosz- Mistrz Ceremonii



W niedzielę 10 października 2021 r. członkowie i przyjaciele Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej zebrali się w eleganckim, historycznym Klubie Uniwersyteckim Pasadeny na uroczystości 50-tej rocznicy Klubu. Bal był kulminacją serii wydarzeń, rozpoczętych w styczniu 2021 roku, a odbywających się w formacie wirtualnym Zoom. Były to spotkania poświęcone sztuce aktorskiej (Beata Poźniak oraz prezentacja nagrody im. H. Modrzejewskiej dla Andrzeja Seweryna), historii (dr Iwona D. Korga, Prezes Instytutu im. Pilsudskiego w Nowym Jorku i prof.

John Radzilowski), sztuce (Krystyna Sądaj) i muzyce (Katarzyna Sądaj, Tomasz Golka i Mikołaj Stroiński). Największym projektem rocznicowym, wieńczącym wieloletnią pracę Klubu, jest wydanie 380-stronicowego „Albumu 50-lecia Klubu”.

Podczas balu dr Wojciech Kocyan grał muzykę Chopina, do tańca polonezem poprowadził aktor Marek Probosz – Mistrz Ceremonii, a oprawę AV zapewnił laureat Emmy – Andrzej Warzocha.

Podczas Balu 50-lecia zostały wręczone Nagrody im. Heleny Modrzejewskiej dla dwojga znakomitych aktorów, Beaty Poźniak, jako wspaniałej przedstawicielki sukcesu polskich aktorów w Hollywood i Jana Englerta, jako jednego z najwybitniejszych aktorów w historii polskiego teatru i filmu, dyrektora artystycznego Teatru Narodowego i gwiazdy ponad 100 filmów. Prezentacja Nagrody dla Jana Englerta była pokazana wirtualnie w formie nagrania rozmowy z laureatem, ze względu na restrykcje związane z podróżą do USA.

*

O NAGRODACH IM. HELENY MODRZEJEWSKIEJ

Doroczna nagroda za zasługi dla kultury polskiej w dziedzinie aktorstwa została ustanowiona w 2010 roku, aby upamiętnić patronkę Klubu, Helenę Modrzejewską oraz uhonorować

osiągnięcia wybitnych aktorów polskich. Nagroda jest przyznawana za całokształt pracy aktorskiej. W październiku 2010 r. pierwszą nagrodę otrzymał aktor Jan Nowicki. W 2011 roku nagrody otrzymali Anna Dymna w Krakowie i Marian Dziędziel w Hollywood. W 2012 roku laureatką została Barbara Krafftówna a w 2013 r. reżyser i scenarzysta, Ryszard Bugajski. Po pięciu latach przerwy, w 2018 roku Klub uhonorował Mistrzynię Mowy Polskiej, Jadwigę Barańską. W 2019 r. nagrodę przyznano dwóm aktorkom z Teatru Polskiego w Toronto, Agacie Pilitowskiej i Marii Nowotarskiej. W styczniu 2021 roku nagrodę za 2020 rok otrzymał Andrzej Seweryn.



Beata Pożniak i Marek Probosz

BEATA POŻNIAK

Beata Pożniak jest aktorką, lektorką, aktywistką, malarką i poetką. Wyróżniona przez "Washington Post" za nagranie najlepszego audiobooka roku w USA, dzięki czemu została nie tylko pierwszą Polką, ale pierwszą nieanglojęzyczną aktorką, którą zatrudniło największe wydawnictwo literackie na świecie – Penguin Random House. W Polsce zadebiutowała w serialu *Życie Kamila Kuranta*, a w USA u Olivera Stone'a w filmie

ośmiokrotnie nominowanym do Oskara, *JFK*, grając żonę Gary'ego Oldmana. Film eksperymentalny *All These Voices* zdobył studenckiego Oskara. Pamiętana jest z teatru TV z roli Ofelii w *Hamlecie we wsi Głucha Dolna* (Złota Setka Teatru TV) czy z seriali: *Kroniki Młodego Indiana Jones*, *Złotopolscy*, *Melrose Place*, *Szaleje za Tobą* oraz *Babylon 5*, gdzie zagrała Kobietę Prezydenta świata.

Przeszła do historii USA proponując wprowadzenie ustawy obchodzenia Dnia Kobiet (H.J.R. 316) za co została wyróżniona przez Burmistrza Los Angeles i w Kongresie USA. Otrzymała Międzynarodową nagrodę Marii Konopnickiej za "Outstanding Achievements in the Arts and for Championing Women's Rights Around the World". Jest dwukrotną zdobywczynią Earphones Award za najlepszą interpretację audiobooka, *Drive Your Plow Over the Bones of the Dead* Noblistki Olgi Tokarczuk i *The Light in Hidden Places* Sharon Cameron.

Beata Poźniak zdobyła też prestiżową Voice Arts Award w kategorii „Wybitna postać z gier wideo – najlepszy występ” za rolę Skarlet, Królową Krwi w serii gier Mortal Kombat. Jest to pierwsza nagroda tego typu od prawie 30 lat istnienia gry. W polskiej wersji "Hollywood Walk of Fame", czyli w Promenadzie Gwiazd w Międzyzdrojach, znajduje się odlew jej dłoni. Powołana przez Prezydenta największych aktorskich związków zawodowych na świecie SAG-AFTRA, zasiada w zarządzie do

spraw kobiet. Często jest jurorką nagród, m.in. EMMY w Academy of Television Arts & Sciences. Posiada tytuł magistra sztuki filmowej i dramatycznej. Wykładała na uniwersytetach USC i UCLA.



Prezentacja rozmowy z Janem Englertem, nagranej 2 października, podczas balu 50-lecia Klubu Kultury w historycznym Klubie Uniwersyteckim Pasadeny

JAN ENGLERT

Urodzony w 1943 r. w Warszawie, polski aktor teatralny i filmowy, reżyser teatralny, profesor sztuk teatralnych, pedagog, a od 2003 roku dyrektor artystyczny Teatru Narodowego w

Warszawie. Na dużym ekranie zadebiutował rolą łącznika Zefira w filmie Andrzeja Wajdy *Kanał* (1956). W 1964 roku ukończył studia na Wydziale Aktorskim PWST im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie i rozpoczął pracę w teatrze. Był aktorem teatrów: Polskiego (1964–1969, 1981–1994), Współczesnego (1969–1981), i Narodowego (od 1997), którym od 18 lat kieruje. Współpracował z najwybitniejszymi reżyserami teatralnymi, grając ważne role w sztukach Szekspira, Mickiewicza, Wyspiańskiego, Gombrowicza, czy Mrożka. Jako reżyser wystawił sztuki Mickiewicza, Słowackiego, Fredry, Cechowa i Witkacego.

Na ekranie mogliśmy go oglądać w filmach Andrzeja Wajdy (*Kanał*, *Katyń*, *Tatarak*), Kazimierza Kutza (*Sól ziemi czarnej*, *Perła w koronie*), Filipa Bajona (*Magnat*), i w serialach Janusza Morgensterna (*Kolumbowie*, *Polskie drogi*), Jerzego Antczaka (*Noce i dnie*), czy Ryszarda Bera (*Lalka*). W sumie wystąpił w ponad 100 filmach, w bardzo wielu sztukach teatru telewizji i serialach. Otrzymał liczne odznaczenia i nagrody, w tym Krzyż Kawalerski i Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski (1988, 2001), Złoty Medal Gloria Artis (2005) oraz nagrody im. Aleksandra Zelwerowicza (1993/1994), Tadeusza Boya-Żeleńskiego (2008) i Cypriana Kamila Norwida (2012). Jest laureatem Nagrody Gustaw (2014) oraz nagrody Ikona Polskiego Kina (2018).

Jan Englert wystąpił w Klubie w 1994, 1996, 1998, 2000 i w 2009 roku. Przywiózł do Kalifornii spektakle: *Kwiaty Polskie* Tuwima, *Dziady* Mickiewicza, sztukę o Św. Mikołaju i wiersze polskich poetów romantycznych.

Tekst i fotografie: materiały prasowe Klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej z Los Angeles

Więcej informacji na stronie Klubu Kultury:

<http://klubmodrzejewskiej.blogspot.com/>

*

**O NAGRODACH IM. HELENY MODRZEJEWSKIEJ - VIDEO
BEATY POZNIAK:**

*

Rozmowy z Beatą Poźniak:

Kobiety, które inspirują

Uwięzieni w czasie

Zobacz też:

Andrzej Seweryn laureatem nagrody im. Heleny
Modrzejewskiej w Los Angeles

Czekając na Chopina

**Refleksje po filmie „Pianiści - grają Chopina” w kontekście XVIII
Konkursu Chopinowskiego**



Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”

Bożena U. Zaremba (*Floryda*)

Raz na pięć lat, mój świat zatrzymuje się w miejscu, żebym mogła oddać się muzyce Fryderyka Chopina i przenieść w czarowną, niepowtarzalną, a nade wszystko piękną krainę, w której intymny podmuch zefirka przeplata się z szaleńczym huraganem emocji. Na XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie czekaliśmy dłużej niż zwykle, ale warto było, bo poziom gry zdawał się przerosnąć oczekiwania nawet samego jury. Zainteresowanie

występami kolejnych pianistów z całego świata było ogromne, a poglądów o talencie wykonawców, o samym Konkursie i oczywiście decyzjach jury było więcej niż czasu na ich przeczytanie czy wysłuchanie. Komentarze, zarówno znawców jaki i zwykłych melomanów, były burzliwe i często rozbieżne:

Tempo walca zdecydowanie za szybkie! Marsz żałobny zagrał tak wolno, że można było zasnąć! Skąd, przecież to wykonanie było ogromnie głębokie i dojrzałe. Gdzie się podział styl brillante? A co z kantyleną? To jest skandal, że on nie dostał się do finału! Pianiści nie powinni zasiadać w jury. Jak można było nie dać jej żadnej nagrody?! Konkurs ma przede wszystkim wyłonić świetnego pianistę. Ależ nie, konkurs ma przede wszystkim wyłonić najbardziej przekonującego interpretatora muzyki Chopina. Tylko przyjrzyj się czyimi studentami są zwycięzcy...

Dylematy te towarzyszą konkursowi od zawsze, czego dowodem jest film Tomasza Magierskiego „Pianiści – grają Chopina” z 2005 r. Przedstawia on historię czterech amerykańskich pianistów, laureatów konkursu im. Fryderyka Chopina w Miami i ich udziału w XV Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. (Pamiętajmy, że to konkursy wyjątkowe – jedyne, na jakich gra się utwory wyłącznie jednego kompozytora, co dla uczestników stanowi dodatkowe wyzwanie. Mamy możliwość śledzić

poszczególne etapy ich przesłuchań, ćwiczenie w salach Akademii Muzycznej w Warszawie, wybór instrumentu, a także być świadkami ich stresów i rozczarowań związanych z uczestnictwem w Konkursie. Przy okazji, młodzi pianiści – **Rachel Kudo, Sean Kennard, Esther Park i Mei-Ting Sun** – opowiadają o historii swojej muzycznej pasji, jej wpływie nie tylko na ich życie, ale niejednokrotnie także na losy ich rodzin, mówią o swoim rozumieniu i podejściu do muzyki Chopina, wreszcie o oczekiwaniach względem Konkursu i przyszłej kariery. O ile każdy z nich jest odmienną i jedyną w swoim rodzaju osobowością, nie można się oprzeć wrażeniu, że pianiści startujący w tegorocznym konkursie mieli często podobne doświadczenia, losy i przemyślenia.



Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”



Uniwersalność świata pianistyki jest także widoczna we wplecionych w narrację filmową wypowiedziach ośmiu uznanych amerykańskich pianistów, nauczycieli fortepianu i muzykologów (w tym profesorów czwórki pianistów). Słyszymy ich przenikliwe spostrzeżenia na temat fenomenu Chopina, technicznych wyzwań i czaru jego utworów, emocjonalnego oddziaływania jego muzyki zarówno na specjalistów jak i laików, a także trudności w osiągnięciu harmonii między warsztatem a muzykalnością.

Do jakiego stopnia pianista jest jedynie narzędziem realizującym zamiary kompozytora, a do jakiego stopnia może naznaczyć dany utwór swoją osobowością? Czy istnieje idealna interpretacja? Dlaczego pianiści chcą brać udział w konkursie? Czym pianista musi się wykazać, żeby wygrać konkurs? Czy jakikolwiek konkurs pianistyczny ma w ogóle sens? Jaką wartość może Konkurs Chopinowski stanowić dla słuchaczy? Opinie tych autorytetów nie są bynajmniej ostateczne i nie koniecznie trzeba się z nimi zgodzić, ale wiedza, wrażliwość i dogłębne spojrzenie na temat są inspirujące. Mnie zachęciły do powrotu do niedawnych przesłuchań na konkursowym kanale YouTube, na przykład do wzruszeń związanych z fenomenalnym wykonaniem **Aimi Kobayashi** 24 Preludiów op. 28. Te przepiękne miniatury muzyczne zgrała nie tracąc napięcia ani na moment, tak, że wydawały się być jednym, ciągłym utworem. Snuła przy tym niteczkę fascynujących opowieści i zachwyciła paletą dynamiki i emocji. Chętnie też wyciągnę z płytowej kolekcji nagrania wielkich klasyków – Rubinsteina czy Zimermana, którego interpretacja Mazurków z op. 24 podczas zmagania konkursowych w 1975 r. była dla mnie przełomowym momentem – muzyka poniekąd już mi znana stała się nagle zjawiskiem magicznym. Wtedy wyłączę z pamięci komentarze. W końcu czy one zawsze są istotne, czy bywają tylko ciekawe?



Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”



Kadr z filmu „Pianiści - grają Chopina”

Jedna scena z filmu mocno mnie ubawiła: nadopiekuńcza mama masuje ramiona i chusteczką uporczywie wyciera usta jednemu z uczestników Konkursu przed wejściem na scenę. Ubawiła, ale także przypomniała, że startują w nim ludzie młodzi, często przed ukończeniem 20 roku życia, a ich kariera, mimo niejednokrotnie wygranych już wcześniej innych konkursów, dopiero się zaczyna. Po obejrzeniu tego filmu, nie można, więc oprzeć się pokusie zajrzenia do Internetu, żeby sprawdzić, jak ta

kariera potoczyła się w przypadku czterech artystów, którym podczas XV Konkursu w 2005 r. świat na chwilę się zatrzymał. Niektórym z nich mogło się nawet wydawać, że to koniec świata.

*

PIANISTS - DEFINING CHOPIN

90 min., dokument, 2006 r.

Reżyseria: Tomasz Magierski

Autor: Tomasz Magierski

Operator: Andrzej Adamczak

Redaktor: Tomoko Oguchi

Producent: Tomasz Magierski

Muzyka w wykonaniu: **Mei-Ting Sun**

Film dokumentalny o Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie w 2005 roku. Reżyser skupiając się na czterech amerykańskich młodych pianistach, pokazuje w filmie, jakże wyzwania stoją przed uczestnikami oraz jak konkurs ekscytuje i rozczarowuje ich podczas trzydziestodniowej imprezy. Pokazane są kwestie

pochodzenia etnicznego, różnic kulturowych i tożsamości oraz proces samopoznania poprzez dyscyplinę i edukację, które są bardzo istotne podczas konkursu. To opowieść o zwycięstwie i porażce, radości i rozczarowaniu, wspaniałym życiowym przeżyciu i przygodzie, z muzyką Chopina w centrum. Film „Pianists – Defining Chopin” podkreśla różnorodność kulturową i jednoczącą siłę muzyki. To poruszająca, przejmująca i fascynująca opowieść o pragnieniu młodych muzyków, by zdobyć uznanie na najwyższym światowym poziomie. Reżyser filmu, Tomasz Magierski, komentuje: *Widownia odbywa z nimi podróż i doświadcza indywidualnych wzlotów i upadków oraz ogromnych obciążeń psychicznych i fizycznych, jakie muszą znosić. Dowiadujemy się, co tak naprawdę oznacza bycie pianistą.*

*

Film dostępny on-line od 21 do 31 listopada 2021 r. na platformie Austin Polish Film Festival:

<https://www.austinpolfilm.com/shorts2021/#week3>

<https://www.austinpolfilm.com/shorts2021>

Reminiscencje chopinowskie

20 października 2021 r. zakończyły się przesłuchania finałowe XVIII Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. Fryderyka Chopina. Laureatów wyłoniło siedemnastoosobowe, międzynarodowe jury pod przewodnictwem prof. Katarzyny Popowej-Zydroń.



Koncert Laureatów XVIII Konkursu Chopinowskiego w Sali Koncertowej Filharmonii Narodowej. Na zdjęciu: Bruce (Xiaoyu) Liu (Kanada), zdobywca I nagrody, fot. Wojciech Grzędziński, Warszawa, 23 października 2021 r.

Marek Drewnowski (*Polska*)

Konkursy są prawie jedyną drogą do stania się zawodowym muzykiem, więc nie będę podważał celowości ich istnienia. Zwracam jedynie uwagę na ograniczenia – tak bardzo istotne w przypadku muzyki Fryderyka Chopina. Ostatni konkurs miał świetną oprawę medialną, radio, telewizja, Internet były wszędzie. Miał też wielką rzeszę rozentuzjasmowanych melomanów, śledzących zmagania pianistów. Pojawił się w chwili

wielkiego zapotrzebowania na muzykę po wyłączeniu na prawie dwa lata ośrodków kultury i sal koncertowych. W ostatnim konkursie znalazła się wielka liczba nadzwyczajnych talentów, i to w dodatku bardzo młodych, siedemnastolatków, świetnych technicznie, nastolatków grających bez kompleksów z temperamentem i inteligencją. Młodzi chopiniści byli doskonale przygotowani, poziom był wyrównany, decydowały ułamki punktów.

Powszechnie znanym faktem było, że poważna część uczestników polskich i zagranicznych była, albo uczniami członków jury, albo pobierała przed konkursem lekcje, czy uczestniczyła w Master Class. Ludzki pierwiastek drzemie w każdym z nas i w każdej profesorskiej głowie, a wiadomo, że bliżsi serca są na pewno uczniowie, czy kursanci. W końcu każdy z jurorów ma zarówno potężne ego jak i ukryte poczucie rywalizacji z kolegami, też z potrzebą sukcesów. Ale nie tylko chodzi o rywalizację czy potrzebę sukcesów, ale także o profity, które za tym stoją. Nie dziwię się, że większość uczestników konkursu usiłowała pomagać sobie poprzez kontakty z Jurorami. Pianiści zabiegali o lekcje czy kontakt z tym czy innym profesorem, jeździli na Master Class, słuchali ich nagrań. Kalkulowali i kontrolowali gusta jurorów i szukali takich rozwiązań, aby się podobać. Pragnienie sukcesu determinowało ich logikę i nie zawsze wychodziło im to na dobre.

Wiadomo, że każdy z profesorów ma inną psychikę i estetykę. Zostawia to w głowach nieopisany mętlik. Jak tu zagrać, aby wszystkim się spodobać. Trudno wybrać, jak trzeba grać, aby osiągnąć sukces, a wiadomo, że dla polskiego pianisty sukces czy porażka oscylują między „życiem a śmiercią”, po porażce trudno jest myśleć o przyszłości i o swoim życiu. Sukces daje inne perspektywy.

Przesłuchałem kilku uczestników, którzy posiadali interesujące osobowości. Osobowości poszukujące swojego stylu, wychodzące z utartych ścieżek, czy przekorne indywidualności, które nie znalazły akceptacji w oczach Jury. Obecnie mamy dostęp internetowy do wszystkich nagrań, można więc przesłuchać, porównać i mieć swoje niezależne zdanie. Byłem zdziwiony tym, że większość laureatów była związana z profesorami i członkami Jury. Słuchając pianistów miałem dziwne wrażenie, że uczestnicy nie chcieli za bardzo się „wychylać”, aby nie narazić się tym jurorom, którzy nie lubią dużych emocji. Dlatego ich powściągliwość w wykonywanych utworach budziła moje zdziwienie. Czy chodziło o to, aby bezkonfliktowo, płynnie przechodzić z etapu na etap? Albo czy chcieli się zbliżyć do „wzorców”? Ale gdzie są te wzorce, u kogo je znaleźć? Czy posiadali kompleks Pogorelicha? Znam studentów, którzy opuszczają cynicznie swoich oddanych pedagogów, dla tych, którzy zasiadają, albo mają zasiąść w Jury, kalkulując, że będą mieli więcej szans na zrobienie kariery. Z pewnością taka

niewierność się opłaci.

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina powinien zmienić Statut Konkursu. Powrócić do korzeni. Obecny Konkurs traci swój etos od czasu interwencji Marty Archerich po odrzuceniu Pogorelicha, który obecnie jest jednym z największych muzyków. W tym konkursie zabrakło takiego autorytetu. Do jury powinno się zapraszać wybitnych pianistów, znawców, chopinistów, niezależnych od nauczania, autorytetów muzycznych, dyrygentów, kompozytorów artystów niezależnych również od szkolnictwa, wolnych muzyków. Sławę i prestiż Konkursu Chopinowskiego w przeszłości tworzyli bez wątpienia jego Jurorzy (także honorowi), goście specjaliści i członkowie komitetów honorowych. Wymienię tu najważniejsze postaci kultury światowej ubiegłego i tego stulecia. Witold Maliszewski, Aleksander Michałowski, Henryk Melcer, Karol Szymanowski, Marguerite Long, Maurice Ravel, Witold Lutosławski, Bruno Seidlhofer, Wilhelm Backhaus, Artur Rubinstein, Carlo Zecchi, Arturo Benedetti-Michelangeli, Stefan Askenaze, Dmitri Kabalevsky, Jarosław Iwaszkiewicz, Paul Badura-Skoda, Nikita Magaloff, Mieczysław Horszowski, Kazimierz Kord, Nelson Freire, Mirosław Bałka, Norman Davis, Krzysztof Penderecki, Jiří Kylián, Andrzej Wajda i Tomas Venclova. Niektórzy z nich nie tylko zasiadali w Jury, ale przy okazji dawali publiczne koncerty. Bardzo ciekawym rozwiązaniem doboru Jury było zapraszanie kompozytorów, dyrygentów, teoretyków, literatów a nawet

filmowców. Na przykład w Jury zasiadali: Maurice Ravel, Karol Szymanowski, Nadia Boulanger.

Obecny skład Jury budził wątpliwości, jak już wspomniałem, eksponowaniem swoich studentów. Kandydaci „niezależni” mieli mniejsze szanse sukcesu. A brało udział wielu niezwykle ciekawych osobowości, które odpadały w poszczególnych etapach, nie wiadomo dlaczego. Należałoby też ustalić programy konkursów, tak jak bywało to wcześniej. Obecny program budził zastrzeżenia. To takie mydło i powidło. Należałoby przywrócić klasyczny repertuar, w którym uczestnicy będą mogli być porównywani w tych samych utworach. Mam nadzieję, że nie powróci zasłona z drewnianych żaluzji, aby nie widzieć pianistów, tak jak to odbyło się na 4 konkursie w 1949 roku w 1 i 2 etapie. A może powinna powrócić? Jeszcze inną innowację podpowiem. Należy dać do oceny chociaż jeden głos publiczności. Nasza publiczność zna Chopina na pamięć i doskonale zdaje sobie sprawę, kto ma talent, a kto jest popychany i to z właściwego klucza. Artur Rubinstein mówił, że jak gra Chopina czuje w jego muzyce „polską dumę”. W tym konkursie „polskiej dumy” nie było. Fryderyk Chopin, nasz wielki Rodak, musi mieć również swój nieskazitelny, kryształowy Konkurs, odpowiedni do wysokości Jego Geniuszu.

*

Wywiad z pianistą Markiem Drewnowskim:

Rytm serca i jasność umysłu

Wywiad z jedną z jurerek XVIII Konkursu Chopinowskiego - Diną Yoffe:

Chopin odpowie miłością

Polskie listopady



Fot. cocoparisienne from Pixabay

Stefan Król (*London, Ontario, Kanada*)

Polska ma dwie ważne daty w nowożytnej historii: trzeci maja 1791 i jedenasty listopada 1918 r. Obie uczyniła świętami narodowymi. Pierwsza data zamyka historię Rzeczypospolitej Obojga Narodów, w dwa lata bowiem po Konstytucji Trzeciego Maja nastąpił kataklizm rozbiorów. Druga rozpoczyna odrodzenie i historię Drugiej Rzeczypospolitej. Dobrze, że tak się stało. Te dwa święta unieważniają niejako rozbiory, zachowują ciągłość wolnej Polski.

“Listopad to dla Polski niebezpieczna pora” – mówi w dramacie Stanisława Wyspiańskiego “Noc listopadowa” Wielki Książę

Konstanty. Rzeczywiście, jeśli przyjrzymy się różnym polskim listopadom, to przyznać musimy, że książę miał rację. Dzieje agonii i dzieje zmartwychwstania Rzeczypospolitej rozegrały się w wyobraźni Polaków właśnie na przestrzeni tego jednego miesiąca.

Pierwsza konfederacja, która wezwała na pomoc Rosję do rozwiązania wewnętrznych problemów Polski, została zawiązana w Tarnogrodzie 26 listopada 1715 r. Pierwsza konfederacja, która nastąpiła przeciw Rosji – powstała w Dzikowie w 1734 r. W cieniu Rosji i wśród coraz szybciej następujących po sobie listopadów minęło także panowanie ostatniego monarchy Rzeczypospolitej Obojga Narodów, koronował się bowiem Stanisław August 25 listopada 1764 roku. Ostatni sejm Rzeczypospolitej – rozbiorowy sejm grodzieński – zakończył obrady w r. 1793 – 23 listopada. W niespełna rok później konało już powstanie kościuszkowskie: 4 listopada 1794 doszło do pamiętnej rzezi Pragi, 5 listopada do kapitulacji Warszawy, a 16 listopada do rozwiązania ostatnich oddziałów pod Radoszycami. Po upływie roku (a po 31 latach tragicznego panowania) Stanisław August złożył koronę w tym samym dniu, kiedy ją założył – 25 listopada.

Zanim nastąpiło listopadowe wskrzeszenie Polski w XX w., najważniejsze wydarzenia czasów niewoli rozegrały się znów w listopadzie. 28 listopada 1806 r. armia napoleońska przyniosła

wolność pruskiej wtenczas Warszawie. Po sześciu latach kolejny listopad pogrzebał możliwość wskrzeszenia całej Rzeczypospolitej, gdy w dniach 26-28 listopada 1812 armia polska towarzysząca Napoleonowi przeprawiła się przez Berezynę z wielkimi stratami w odwrocie spod Moskwy.

I znów mijały lata i kolejne listopady wskrzeszały lub zabijały polskie idee wolnościowe. 29 listopada 1930 r. pożar warszawskiego browaru na Solcu stał się sygnałem do największego naszego powstania narodowego – nazwanego listopadowym właśnie – a w rezultacie także do wielkiej wojny polsko-rosyjskiej, trwającej dłużej niż moskiewska wyprawa cesarza Francuzów. 16 listopada 1846, dokładnie w rocznicę Radoszyc, wcielono do Austrii ostatni kawałek polskiej państwowości – Rzeczpospolitą Krakowską; listopad 1864 widział z kolei kres działalności ostatniego partyzanta Powstania Styczniowego – księdza Stanisława Brzóska. Aby zakończyć tę listopadową wyliczankę dodam, że obalenie muru berlińskiego w 1989 r., symbolu władzy komunizmu nad Europą, nastąpiło także w listopadzie.

Po wielu pozornie cichych latach, gdy trzeba było schować szable do pochew, a zaprzęgnąć do pracy wolnościowej pióra i umysły, nadszedł wreszcie listopad 1918 r., najszcześniejszy chyba listopad w całej historii Polski. Polska stała się znowu niepodległa i mogła wrócić do Europy. Więc może skończyła się

wreszcie nasza zła listopadowa passa.

Przedwojenny dorobek odrodzonej Polski warto i należy wspominać z uznaniem, nawet z dumą. Wolność, o którą Polacy walczyli powstaniem, wolność długo wyczekiwaną, wolność wymodloną, nie została zmarnowana. Polacy wiedzieli, co z wolnością zrobić, jak wolność zorganizować. I jeśli po drugiej wojnie światowej wydawało się czymś niewyobrażalnym, aby ład w Europie dało się ponownie ustanowić bez przywrócenia państwa Polskiego (nawet Stalin nie myślał o utworzeniu 17. republiki), fakt ten należy przypisać przede wszystkim zdobyczom Drugiej Rzeczypospolitej w ciągu owych niepowtarzalnych dwudziestu lat prawdziwej niepodległości między pierwszą i drugą wojną światową.

Podstawowym problemem odrodzonej Polski była integracja. Ludność, instytucje i tradycje trzech zaborów należało stopić w jedną całość. Żeby sobie uświadomić, jak ogromnie trudny i złożony był to problem, podam tylko, że w pierwszym okresie niepodległości było w obiegu pięć różnych walut; pięć regionów kraju (Wielkopolska, Śląsk, Cieszyn, Galicja Wschodnia i Środkowa Litwa) utrzymało różne systemy administracji; w wojsku używano czterech różnych oficjalnych języków; w sądach – trzech różnych kodeksów karnych; tory kolejowe wymagały wagonów o dwóch różnych rozstawach kół.

Dodajmy do tego ogromne zniszczenia wojenne. Prawie 90% międzywojennego obszaru państwa polskiego było terenem działań wojennych. Na 22% powierzchni toczyły się długotrwałe, wyniszczające walki pozycyjne. W wyniku działań wojennych, epidemii, głodu i deficytu urodzeń liczba ludności w 1920 r. na terenie Polski zmniejszyła się o prawie trzy miliony w stosunku do roku 1910. I oto w przeciągu zaledwie dwudziestu lat, które historia podarowała Polsce międzywojennej, naród polski zdążył zespolić swe trzy dzielnice, potwierdzić i wzmocnić swą osobowość, wyrażoną w większości przypadków przez demokratyczne instytucje. Pamiętajmy, że wybory do pierwszego sejmu polskiego odbyły się już 26 stycznia 1919 r., gdy formalnie rzecz biorąc nawet jeden kilometr polskich granic nie był ustalony. Frekwencja wyborcza była bardzo wysoka i wahała się, mierząc powiatami, od 60 do 90 procent. Polskie tradycje parlamentarne zaliczają się do najstarszych w Europie, sformowały się już w XV w. Konieczność zwołania sejmu była wprost dogmatem dla ludzi spodziewających się, że wojna światowa poprawi położenie narodu. Odzyskawszy niepodległość Polska szybciej i energiczniej zabrała się do zwoływania sejmu niż zorganizowania armii, choć i armię zdążyła stworzyć na czas. Doszło do głosu poczucie historyczne i prawne ogromnej większości społeczeństwa.

Co było pierwszą, podstawową przyczyną tego sukcesu narodowego?

W drugim roku swego pontyfikatu Jan Paweł II mówił na forum UNESCO:

Jestem synem Narodu, który przetrzymał najstraszliwsze doświadczenia dziejowe, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć – a on pozostał przy życiu i pozostał sobą, zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako Naród – nie w oparciu o jakiekolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym przypadku potęgą większą od tamtych potęg [...]. Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze Narodu. Jest to ta zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek.

Tak więc to polska kultura zwyciężyła naszych zaborców. To był ów dynamit, który rozsadzał pęta niewoli – mimo długiego ciągu smutnych polskich listopadów.

Nie jest łatwo udzielić w pełni uzasadnionej odpowiedzi na pytanie, w czym tkwiła – i mam nadzieję jeszcze tkwi – ogromna siła i atrakcyjność polskiej kultury. Nawet w czasach niewoli wielu Kolbergów, Estreicherów, Trauguttów polonizowało się i stawało polskimi patriotami. Można co najwyżej pewnym obrazem, czy raczej opowiadaniem, naprowadzić na właściwą –

jak się wydaje – odpowiedź.

Każdy naród pieczołowicie przechowuje swoje najstarsze teksty. Norwegowie i Szwedzi są dumni ze swoich starych sag skandynawskich, opiewających przewagi wojenne wikingów. Francuzi mają słynną “Przysięgę strasburską” z 842 r., wypowiedzianą na znak przymierza politycznego przez dwóch wnuków Karola Wielkiego. Najstarsze zapisane zdanie włoskie nie nadaje się do powtórzenia, bo jest bardzo brzydkie. Najstarsze zapisane polskie zdanie znajduje się w tzw. Księdze Henrykowskiej, pochodzącej z drugiej połowy XIII w. Jest to pisana po łacinie – z wyjątkiem owego jednego zdania polskiego – kronika klasztoru spod Wrocławia. W jednym ustępie kronika opowiada, jak to w pobliżu klasztoru rolnik Boguchwał Brukał otrzymał od księcia Mieszka Starego ziemi “na cztery woły”, a potem sam zagarnął lasu “na cztery pługi”. Wracał z tego karczowania bardzo utrudzony, ale gdy w domu widział, jak żona męczy się przy żarnach, mieląc zboże na chleb, nieraz jej powiadał (i tu kronikarz zapisał, co on do niej po polsku mówił): “Daj ac ja pobruszę, a ty poczywaj”, przekładając na współczesna polszczyznę znaczy: “Daj, niechże ja pomiele, a ty odpocznij”.

To pierwsze polskie zdanie wskazuje, w czym tkwi siła polskiej kultury, jest to po prostu kultura rodzinna. To polski dom okazał się fortecą polskości. Zaborca nie przeszedł progu polskiego domu rodzinnego.

Żyjemy w określonym miejscu i w określonym czasie.

Stwierdzenie oczywiście banalne, ale konsekwencje faktu wyrażonego tym stwierdzeniem banalne nie są, bo on właśnie określa nasze życie, nasz sposób bycia między ludźmi, nasz projekt przyszłości i sposób dziedziczenia, nasze hierarchie wartości, pragnienia, sposoby rozumienia świata. Miejsce to przestrzeń, która jest w zasięgu mojej ręki, którą wyznacza próg mojego domu, granica powiatu lub prowincji, słupy graniczne mojego lub nie mojego państwa. I czas. Czas zapamiętany, opowiadany, czas życia moich rodziców i dziadków, przeszłość niby umarła, a żyjąca we mnie, i przyszłość – pole realizacji moich zamiarów. W obrębie tej przestrzeni i tego czasu buduję swój krąg swojskości, bez którego nie mogę być szczęśliwy, bo nie mogę czuć się bezpieczny. Budując krąg swojskości wchodzę w kontakt z innymi ludźmi, którzy żyją na tym terytorium, ale szukam przede wszystkim tych, co są ukształtowani przez tę samą kulturę, z którymi łączą mnie te same mity i przesady, którzy mają tę samą pamięć i rodzaj wyobraźni, którzy rozumieją moje dowcipy. Ci, co twierdzą, że więzy narodowe można z dnia na dzień zastąpić innymi więzami grupowymi, np. zawodowymi, nie wiedzą, co stanowi fundament ich tożsamości duchowej, są podobni do pana Jourdain z komedii Moliera, który nie wiedział, że mówi prozą.. Ale i ci, co nie chcą zobaczyć poza swoim płotem sąsiada, nie uczynią swego mieszkania domem. Bo dom jest wprawdzie miejscem bezpieczeństwa i swojskości, ale właśnie dlatego, że jest, również miejscem otwartości i gościnności,

gdzie gospodarz siadając na progu może powiedzieć – jak w legendzie o greckim filozofie ogrzewającym się przy domowym ogniu – przechodniu, wejdź, tu także mieszkają bogowie. Ci, co tego nie wiedzą, są podobni do rozbitków na bezludnej wyspie.

Nasze obyczaje dotyczące życia i śmierci, miłości, narodzin i wszystkich ważnych wydarzeń, stwarzają wokół nas jakby żywioł, w którym żyjemy; są naszą sprawdzoną łódką, w której płyniemy przez życie. Bez tej łódki musielibyśmy się chwytać przypadkowo napotkanej belki obcych dla nas obczajów. Na takiej belce można dopłynąć do najbliższej wyspy, ale nie można po ludzku żyć.

Stefan Król (1937-2015) – kanadyjski fizyk, felietonista.